

# Jacek Piekara

## Ponury Milczek

„- Jakie zbrodnie popełnił? - zaśpiewał Leśny Gnom.

- Mordował, zdradzał, umyślnie niszczył statki, torturował, szantażował, rabował, sprzedawał dzieci w niewolę, on...

- Nie obchodzą mnie wasze spory religijne - przerwał Leśny Gnom.”

Jack Vance „Księżycowa ćma”

O'Reilly z niecierpliwością czekał na samolot. Panował wyjątkowy upał, a w pozbawionym klimatyzacji przeszklonym wnętrzu hali przylotów atmosfera była iście szklarniowa. Samolot miał już blisko dwugodzinne opóźnienie, więc O'Reilly opróżniał chyba dziewiąty czy dziesiąty kubek soku. Napój pomagał tylko na chwilę, uwalniając język i usta od spiekoty, ale potem powodował tylko coraz większe pocenie. Koszula przylegała do pleców tak szczelnie, że zaprzestał jej ciągłego odlepiania. Starał się jednak stać nieruchomo i cierpieć w spokoju, wiedząc, że każdy nieopanowany ruch może go narazić na lekceważenie obsługi lotniska, która upał znosiła z możliwą jedynie na Taurydzie całkowitą obojętnością. O'Reilly zazdrościł im lekkich i przewiewnych strojów służbowych; sam musiał niestety założyć na zwykłe ubranie szeroki, ciepły płaszcz powitalny, którego zdjęcie teraz było już absolutnie niemożliwe. Grzał się więc pokornie w dusznej sali, z nienawiścią myśląc o procedurach celnych i medycznych, które zapewne spowodowały opóźnienie samolotu. Zastanawiał się też, kim ma być ta szyszka, której przybycie zapowiadała specjalna depesza z Centrum Federacji. Centrum zwykle nie zwracało sobie głowy byle kim, a i nie fatygowaloby w mało ważnym celu O'Reillego - głównego agenta handlowego na Taurydzie, który miał dość własnych obowiązków i kłopotów, aby jeszcze brać sobie na głowę następny. Depesza była krótka oraz lakoniczna, jak to zwykle wiadomości słynnego ze skąpstwa Centrum. Oznajmiała niedwuznacznie, że "O'Reilly czekać, dwunasta, lotnisko Ganen,...or Jansen". Najbardziej zagadkowy był ów wyraz "...or", który mógł oznaczać, że na Taurydę przybędzie senator Jansen, komandor Jansen, wizytator Jansen, albo Bóg wie co jeszcze, kończące się na "or". O'Reilly przypuszczał jednak, że gościem może być po prostu nowy ambasador, który miał zająć miejsce biednego Henricksa. Centrum zwykle nie zwlekało z obsadzaniem wakujących stanowisk. Ale znowu Tauryda nie była miejscem, do którego dyplomaci dobijaliby się drzwiami i oknami. O'Reilly miał tylko nadzieję, że przyślą kogoś choć trochę znającego miejscowe obyczaje, a nie jakiegoś bubka prosto ze

szkoły dyplomatycznej. Czuł, że wtedy jego obowiązki agenta handlowego musiałyby odejść na dalszy plan i ustąpić miejsca obowiązkowi nauczyciela. Spojrzał na zegar i zobaczył, że dochodzi wpół do trzeciej. Obiecał sobie, że poczeka jeszcze tylko pół godziny, ale w tej samej chwili kobiecy głos oznajmił z głośników:

- Lot trzysta dwadzieścia dwa. Samolot z kosmodromu Nagadir wylądował za trzy minuty.

Prawie w tej samej chwili do O'Reillego podszedł barczysty mężczyzna w stroju strażnika, z karabinem przewieszonym przez plecy. W momencie kiedy stanął przed agentem, błyskawicznym ruchem zmienił maskę Obojętnego Przechodnia na Przyjaznego Nieznajomego.

- Proszę za mną - powiedział.

O'Reilly docenił w pełni ten gest, który z pewnością był formą przeprosin za tak długi czas oczekiwania. Sam więc też szybko zmienił maski zakładając na twarz Przyjaznego Nieznajomego. Była to czysta kurtuazja, gdyż w stosunku jego do strażnika i strażnika do niego, stosunku całkowicie wynikającym z powinności służbowych, zmiana ta nie była konieczna. Świadczyła jednak o docenieniu przez O'Reillego przyjaznego zachowania funkcjonariusza lotniska. O'Reilly wiedział, że czasami na tych zdawałoby się pozbawionych znaczenia gestach można było zyskać bardzo wiele. Zresztą na Taurydzie, tak naprawdę, istniało mało spraw pozbawionych znaczenia.

Wyszli na rozpaloną płytę lotniska. Mały, zabierający kilkunastu pasażerów samolot lądował właśnie na sąsiednim pasie. Kiedy podeszli do niego bliżej otworzyły się drzwi, wysunęły schody i z wnętrza wyszedł wysoki, czarnowłosy mężczyzna w jasnym, płóciennym garniturze, z małą walizką w rękę. Zszedł na płytę lotniska i stanął przed O'Reillem.

- Pan O'Reilly, jeśli się nie mylę? - spytał.

Głos miał miły i matowy. Mówił po angielsku z lekkim, chyba skandynawskim akcentem.

- Jestem inspektor Jansen - przedstawił się, wyciągając rękę.

Agent po chwili wahania ujął jego dłoń i z pewnym zakłopotaniem natychmiast wypuścił. "Inspektor", pomyślał. No tak, tego właśnie można było się spodziewać. Ale, Boże, to przecież gorsze, niż nieudacznym ambasador. Inspektor to wręcz klęska. W O'Reillem powoli dojrzewała myśl o złożeniu natychmiastowej rezygnacji. No, co tu się będzie działo! Jezu, lepiej nawet o tym nie myśleć. Po Jansenie od razu było widać, że Taurydę zna, nie, nawet cholera nie z książek. Jego znajomość tej planety ogranicza się chyba tylko do samej nazwy. Ale przecież mógł mu ktoś powiedzieć, żeby założył na twarz maskę. I nie chodzi tu wcale o obsługę lotniska, bo oni są przyzwyczajeni do cudzoziemców, ale o to, że wiadomość się rozniesie i Jansen będzie z miejsca stał na straconej pozycji. A pozycja społeczna O'Reillego też może na tym ucierpieć.

- Chciałbym, aby pan przed wejściem do hali założył maskę - poprosił grzecznie agent.

Jansen wzruszył ramionami.

- Czy to konieczne? - spytał. - Jest taki upał, nie wiem dlaczego nie zdejmie pan tego gówna z twarzy.

O'Reilly zmartwiał. Dopiero po chwili dotarło do niego, że te słowa wypowiedział człowiek obcy, nie znający zwyczajów, zwykły glina z Ziemi. Jezu, a pomyśleć, że lewa ręka na sam dźwięk tych słów skoczyła po maskę Szalonego Wojownika, a prawa dłoń schowała się w fałdy płaszcza w poszukiwaniu rękojeści miecza. No, będzie cyrk z tym Ziemianinem. Trzeba przyznać, że już start mu się udał. Gdyby na miejscu O'Reillego był jakikolwiek Taurydańczyk, Jansen leżałby na betonie z rozwalonym łbem - a stałoby się to tak szybko, że nie zdążyłby nawet pomyśleć, a co dopiero obronić się.

- Niech pan posłucha - rzekł już ostro. - Ma pan założyć maskę!

Lewa dłoń instynktownie, sama, bez udziału myśli, ustawia się prostopadle do ciała na wysokości brzucha. Gest ten oznaczał "rozkazuję!" i stosowało się go w stosunku do osób o bardzo niskiej pozycji społecznej. Użyty w innym wypadku był powodem do natychmiastowego pojedynku. O'Reilly wiedział, że przyzwyczajony do beznamiętnego i monotonnego tonu głosu mógł nie oddać słowami wagi tego polecenia, ale Jansen usłuchał.

- No, dobra - mruknął. - Da mi pan jedną ze swoich?

Agent zastanowił się. Najlepszy będzie Ponury Milczek, choć szczerze mówiąc, jej noszenie w większości przypadków nie jest powodem do chwały. No, ale za to nikt nie zaczepi Jansena, a to już ważne. Zabicie Ponurego Milczka było dyshonorem dla mordercy. Maskę tę bowiem zakładał człowiek, który przeżył wielki szok psychiczny i w ten sposób prosił o przebaczenie mu jego ewentualnych uchybień, które wynikają ze złego stanu zdrowia. Faktem jednak jest, że długotrwałe używanie maski było nieco poniżające. No, ale lepsze to niż nic.

Jansen założył posłusznie maskę i, nic już nie mówiąc, skierowali się w stronę drzwi do hali przyłotów. Kiedy inspektor chciał pierwszy przejść przez próg, O'Reilly zdążył złapać go za rękę.

- Po mnie - powiedział i wszedł do środka, a zdziwiony, dotknięty Jansen za nim. Samochód czekał na ulicy. Agent usiadł za kierownicą, wpuszczając inspektora na miejsce obok siebie.

- Ładnie witacie tu gości - powiedział Jansen ze złością.

"No, i jak mu to wytłumaczyć w kilku słowach?" - pomyślał bezradnie O'Reilly. - "Boże, dzisiaj wysyłam rezygnację."

- Po co pana przysłali? - spytał, decydując się nie wyjaśniać na razie niczego.

- Jak to po co? - zdziwił się inspektor: Kazano mi zbadać sprawę śmierci naszego ambasadora. Szczerze mówiąc, pana raport nie zachwycił Centrum.

No i nic dziwnego. Jaki można napisać raport z Taurydy, przeznaczony dla bezdusznych urzędników Centrum? Znając ich mentalność, gdyby napisał prawdę, przysłaliby tu nie inspektora a krążownik bojowy.

- Pan orientuje się w sprawach Taurydy? - zapytał, właściwie niepotrzebnie, bo pewien był

przeczącej odpowiedzi.

- No cóż - mruknął Jansen z zakłopotaniem. - Dostałem materiały, ale szczerze mówiąc nie zdążyłem ich przeczytać. Ale znam taurydański. A poza tym, Centrum liczy, że okaże mi pan wszechstronną pomoc. - Położył nacisk na ostatnie zdanie.

O'Reilly jęknął w duchu. To, że Jansen zna język Taurydy, tylko komplikowało sytuację. Możliwość popełnienia przez niego błędu zwiększała się kilkakrotnie. Zresztą, cóż to mogła być za znajomość? Aby poznać wszelkie jego niuanse i szczegóły znaczeniowe oraz zyskać możliwość wyrażania myśli trzeba było studiować ten język co najmniej kilka lat, a potem długie lata zapoznawać się z nim na miejscu, gdyż tylko obcowanie na żywo z tą ciągle zmieniającą się mową mogło przynieść jakieś korzyści. Jeżeli Jansen znał tylko język literacki (a nic nie wskazywało na to, aby było inaczej), to możliwość popełnienia przez niego znaczącego błędu na samym początku równała się stu procentom.

A na Taurydzie za błędy się płaciło. Czasem nawet najwyższą cenę. Biedny Henricks.

Jechali przez wyludnione miasto. Między godziną dwunastą a czwartą rzadko kto spaceruje po rozpalonych ulicach. Przez te cztery godziny Taurydańscy odpoczywają na tyłach swoich białych, schludnych domków, gdzie zwykle mieszczą się małe ogrody i baseny. W cieniu ogrodowych drzew oddają się zajęciu; które oprócz poezji, muzyki i walki lubią najbardziej: błogiemu leniuchowaniu. Potem ulice się ożywiają. Gdy słońce zacznie chylić się ku zachodowi otworzą się sklepy, lokale, przekupnie wystawią swoje kramy, rozpocznie się czas towarzyskich wizyt. Ale to dopiero za godzinę.

- Daleko jeszcze? - zapytał Jansen, rozpinając guziki koszuli. - Skonać można w tym gorącu.

- Zaraz będziemy na miejscu - odpowiedział O'Reilly.

- Chcę usłyszeć od pana prawdziwą wersję wydarzeń - oznajmił inspektor. - Bez tych wszystkich dwuznacznych bzdur z raportu.

Agent zacisnął mocniej dłonie na kierownicy. Ten idiota znieważył go po raz trzeci i, słodki Boże, nie miał o tym zielonego pojęcia.

- Oczywiście - odparł. - Ale nie sądzę aby łatwo było panu zrozumieć to, co tu zaszło.

- Dobra. Zacznijmy od początku. Kto go zabił? Tyfrathon Kanderu Gardemuus.

- Co to znaczy?

- Tyfrathon to tytuł - odparł O'Reilly - Kander, to prowincja skąd pochodzi jego ród, a Gardemuus to imię.

- W porządku. Co takiego zrobił Henricks, że został zmordowany?

O'Reilly zatrzymał wóz przed jednym z białych domków i wysiadł. Jansen wyszedł za nim. Drzwi otworzył im niewolnik O'Reillego.

- Kąpiel przygotowana, panie - oznajmił, pochylając głęboko głowę na znak szacunku.

Inspektor sięgnął dłonią by zdjąć maskę, ale agent zauważył to w porę i powstrzymał jego rękę w pół ruchu.

- Jak zostaniemy sami - rzekł. - Przy niewolnikach nie wolno panu zdejmować maski.

- Coś takiego? - zdumiał się Jansen. - Pan ma niewolników? Widzę, że dojdzie mi parę smaczków do raportu.

O'Reilly westchnął ciężko w duchu. Jak wytłumaczyć Jansenowi, że człowiek o jego pozycji społecznej musi mieć co najmniej kilku niewolników? Już i tak patrzono na niego ze zdziwieniem, że zawsze sam prowadzi wóz, ale on nie miał zaufania do szoferskich umiejętności Taurydańczyków.

Weszli do obszernego białego pokoju. Podłoga wyścielona była grubym futrzakiem o długim włosiu, w kącie stało łoże zrobione z kilku olbrzymich poduch nakrytych dywanem, a obok niego leżały cztery wygodne pufy z brązowej skóry i przeszklona szafka- chłodnia z napojami. Jansen z westchnieniem ulgi opadł na pierwszy z brzegu puf.

- Wstać - rozkazał po taurydańsku O'Reilly, błyskawicznie zmieniając maskę Przyjaznego Nieznajomego na maskę Urazonego Dobroczyńcy. Lewą ręką wykonał ruch jakby otwierał wachlarz - gest rozczarowania.

- Poproś o przebaczenie - powiedział szybko po angielsku do wstającego powoli Jansena.

- Przeprzepraszam - zająknął się inspektor.

Taurydańskiego używał poprawnie, aczkolwiek miał ten niepokojący akcent Południowych Wysp, a przybysze stamtąd nie byli specjalnie mile widziani w stolicy. O'Reilly zmienił maskę Urazonego Dobroczyńcy na Wybaczającego Władcę, usiadł wygodnie na łóżku, przetrzymał chwilę w miejscu stojącego Jansena, po czym dał mu znak, aby usiadł. Potem gestem odprawił niewolnika.

- Co ma znaczyć ta cała szopka? - wybuchnął inspektor.

O'Reilly z ulgą zdjął z ramion płaszcz i włożył go do szafy. Potem nalał sobie i Jansenowi po szklaneczce soku prosto z chłodni.

- Nie wolno panu siadać wcześniej niż usiądzie gospodarz - wyjaśnił. - Może to być uznane za celową zniewagę. W ten sposób daje mi pan poznać, że jest pan lepszy ode mnie. Gospodarz nie może na to pozwolić, bo utraci honor.

- Cholera - zaklął Jansen. - Dużo oni jeszcze mają podobnych idiotyzmów?

- Sporo - odparł z namysłem O'Reilly. - Jeżeli chce pan czegokolwiek tu dokonać musi się pan ich nauczyć i dostosować do nich. muszą stać się pana drugą naturą.

- Nie zamierzam tu długo siedzieć - burknął inspektor. - Wysmażę raport i wio do domu. Dobra, ale

niech mi pan powie, co znaczyło to zmienianie masek i tak dalej. Cała ta szopka zrobiona po to, żeby niewolnik przypadkiem sobie nie pomyślał, że pana obraziłem.

Agent zdjął z twarzy maskę i otarł dłonią pot z twarzy. Jansen poszedł w jego ślady z nieukrywanym zadowoleniem.

- Ta maska - powiedział, pokazując ją inspektorowi - to Wybaczący Władca. Stosuje się ją darowując komuś przewinę. Używana w stosunkach pomiędzy przełożonym a podwładnym bądź w stosunku do ludzi o niższej pozycji społecznej. Założona w obecności kogoś o wysokim prestiżu może stać się powodem pojedynku.

- Barbarzyństwo - rzekł z przekonaniem Jansen. - A poprzednia?

- To był Urażony Dobroczyńca. Stosuje się ją do osób, które zawiodły zaufanie i które odpłaciły lekceważeniem za wyświadczoną przysługę. Ja zaszczyliłem pana, mającego na twarzy Ponurego Milczka, a więc maskę człowieka o nikłej pozycji, zaproszeniem do swego domu, a pan chciał mnie obrazić. Jeżeli nie usłyszałbym przeprosin mógłbym wyrzucić pana z domu, co pozbawiło by pana honoru, bądź wyzwac na pojedynek. Ale zabicie Ponurego Milczka jest odbierane jako dyshonor, zrobiłbym więc to pierwsze.

- Pan by mnie na prawdę wyrzucił? - inspektor otworzył szeroko oczy.

- Nie pozostawałoby mi nic innego - wyjaśnił obojętnie O'Reilly. - A wtedy jedynym sposobem by nie zostać tu poturbowanym byłby dla pana szybki wyjazd.

- Cholera - Jansen stuknął pięścią w otwartą dłoń. - Ale przecież przyjeżdżają tu cudzoziemcy. No, turyści, naukowcy i tak dalej.

O'Reilly aż zamarł na moment, ale zaraz się opanował. Cały czas zapominał, że ma do czynienia z cudzoziemcem nie znającym symboliki gestów.

- To prawda - odparł po chwili - Ale oni chodzą bez masek. Traktowani są grzecznie, lecz ich pozycja jest równa zeru. Obraza z ich ust nie jest obrażą, a splamienie sobie rąk ich krwią byłoby hańbą. To miasto, jak żadne inne, panie Jansen. Człowieka z odsłoniętą twarzą nie spotka tu żadna krzywda, nawet gdyby udał się w najbardziej zakazane miejsce z walizką pełną pieniędzy.

- To wspaniałe wyjście dla tajnej policji - zauważył bystro.

O'Reilly spojrzał na niego. "Nic nie rozumie", pomyślał bezradnie. No, ale to wymaga czasu. Tauryda jest rzeczywiście skomplikowanym organizmem społecznym.

- Niestety nie - odparł. - Jakiż szanujący się człowiek przyjąłby raport od podwładnego wiedząc, że pełnił on służbę bez maski? Potworna hańba.

- No nie - roześmiał się Jansen. - Dać tu kilku naszych, a w trymiga zrobiliby porządek z przestępczością.

Tak. Z pewnością. Był taki jeden co próbował podobnie. Oficer policji Nykkanuus, szlachetnie urodzony, bardzo zdolny. Zbyt sprytny. Aż dziwne, że wychowany na Taurydzie mógł wpaść na podobny pomysł. Źle skończył.

- Ale dobra - inspektor potarł brodę knykciami. - Niech pan mówi o Henricksie.

O'Reilly cały czas zastanawiał się, czy wyjawić prawdę. W gruncie rzeczy wynik inspekcji Jansena był mu całkowicie obojętny. Dawno już uniezależnił się od pensji płaconej mu przez Centrum i jak na taurydzkie warunki był człowiekiem w miarę majątnym. Tak więc ze strony Centrum nic mu nie groziło, ale taurydańskie obyczaje nauczyły go dbałości o własny honor i dlatego udowodnienie kłamstwa i wyrzucenie z posady (co by niewątpliwie nastąpiło) byłoby wielce nieprzyjemne i obniżyłoby rangę O'Reillego w jego własnych oczach. Postanowił więc mówić prawdę, choć wiedział, że nie będzie to zadanie łatwe.

- Wracamy do pańskiego pytania - podjął agent. - Co zrobił Henricks? Otóż Henricks popełnił błąd i śmiertelnie obraził tyfrathona Gardemuusa.

- Czy może usiadł przed nim? - spytał złośliwie Jansen.

- Henricks był człowiekiem o wysokiej pozycji społecznej - ciągnął O'Reilly nie zwracając uwagi na zaczepkę. - Jego dom odwiedzał kwiat miejscowej arystokracji.

- W szczególnie zażyłych stosunkach był właśnie z Gardemuusem, od którego otrzymał prawo odwiedzania w czasie odpoczynku...

- Co to znaczy? - przerwał inspektor.

- Między dwunastą a czwartą - wyjaśnił agent. - Zauważył pan, jak wyludnione były ulice w czasie naszego przejazdu z lotniska? Właśnie był czas odpoczynku. Zezwolenie na odwiedziny w tym czasie jest najwyższym wyrazem zaufania. Na dobrą sprawę uznaniem za członka rodziny.

- No to fajnie. Ale dlaczego go zabił?

- Henricks zakochał się w córce tyfrathona. Małżeństwo to było możliwe, chociaż pozycja Gardemuusa nieco by ucierpiała...

- Co? - krzyknął Jansen. - Chce pan powiedzieć, że pozycja jakiegoś miejscowego szlachetki ucierpiałaby, gdyby jego córka wyszła za ambasadora Federacji? O'Reilly wiedział, że musi być cierpliwy. Ale myśl o rezygnacji stała się decyzją.

- Tyfrathon Gardemuus - odparł - to arystokrata od stu dwunastu pokoleń. Od takiego też czasu jego ród włada Kanderem. Jest kilkudziesięciu ludzi na całej planecie, których jego córka mogłaby poślubić nie narażając pozycji ojca. A Gardemuus marzył o jej związku z następcą taurydańskiego tronu, co uczyniłoby go trzecią osobą na planecie. Rozumie pan teraz?

- Rozumiem, ale przecież go chyba nie zabił tylko za to?

- Oczywiście, że nie - O'Reilly machinalnie rozwinął stuloną do tej pory pięść na wysokości piersi - (znak zdumienia). - Oświadczyły ambasadora Federacji i prawie że członka rodziny nie godziły w honor Gardemuusa.

- Więc co?

Teraz przychodził czas aby przejść do najtrudniejszej części opowiadania. Jak człowiekowi pokroju Jansena wytłumaczyć złożoność sprawy, uwarunkowaną wieloletnimi tradycjami i powodującą, że fakt, który na Ziemi uznano by za morderstwo, tutaj był tylko splotem nieszczęśliwych okoliczności, a śmierć Henricksa nie stała w kolizji z żadnymi przepisami prawa ani etyki? Należało zacząć od początku.

- Zdołał pan zapewne zauważyć - powiedział po namyśle - wyjątkową rolę masek w kontaktach międzyludzkich. Każdy z nas nosi u pasa przynajmniej z dziesięć różnych masek, które odzwierciedlają nasz stosunek do rozmówcy. Nie czas tutaj, abym tłumaczył panu całą złożoność tradycji i zwyczaju z tym związanego. A nie są to znowu sprawy łatwe do pojęcia dla kogoś, komu Tauryda jest zupełnie obca. Wracając jednak do sprawy. Henricks ubrany w najbardziej ceremonialny strój odwiedził pewnego dnia Gardemuusa. O przyjaźni jaką tyfrathon dla niego żywił może świadczyć założenie przez niego, gdy zobaczył ambasadora, maski Drogiego Przyjaciela. Zwykle człowiek o pozycji Gardemuusa ma tylko kilku, no, góra kilkunastu ludzi, w obecności których używa tej maski. Po pewnym czasie, który upłynął im na zwyczajowej, ceremonialnej rozmowie, Henricks założył maskę Pokornego Jałmużnika i wyłuszczył swoją prośbę. Kiedy wspominał ukochaną zmienia Pokornego Jałmużnika na Płomiennego Kochanka. Słowa oświadczyń są sformalizowane, ale użycie tych dwóch masek zastępuje wyznanie gorącej miłości połączone z kornym błaganiem. Na Taurydzie jest to najbardziej żarliwa forma oświadczyń.

- Ależ oni sobie komplikują życie - zauważył Jansen. - No i co dalej?

- Gardemuus nie chciał przyjąć tych oświadczyń; ale nie miał zamiaru też narażać na szwank przyjaźni z Henricksem, którego naprawdę lubił i cenił. Dlatego też przywdział maskę Dobrotliwego Ojca i odmówił. Wtedy Henricks powinien dać sobie spokój. Znał tutejsze obyczaje na tyle, że wiedział, iż nic już nie będzie w stanie zmienić decyzji Gardemuusa. On jednak ponowił prośbę. No cóż, miłość zaślepiła - O'Reilly pociągnął długi łyk zimnego napoju. - I wtedy tyfrathon zmienił maskę na Wybaczącego Władcę. Było to wyraźne ostrzeżenie, że dalsze nalegania mogą spowodować zerwanie ich przyjaźni. Dalej już mogło dojść tylko do tego, że założyłby Obojętnego Przechodnia dając Henricksowi do zrozumienia, że nie mają o czy mówić. No cóż, to byłaby już obelga i przyjaźń zostałaby zerwana: Henricks doskonale o tym wiedział, ale był już bardzo zdenerwowany. Wydaje mi się, że chciał zakończyć tę niezwykle kłopotliwą dla nich obu scenę, a mógł to zrobić zakładając Płomiennego Kochanka, co zresztą uczynił, i zmieniając ją potem na Ponurego Milczka. Byłaby to jak najbardziej właściwa forma prośby o wybaczenie niezręczności spowodowanej miłosnym zaślepieniem i w stosunkach pomiędzy przyjaciółmi nie pozostawiłaby zadrażnień. No, ale wtedy Henricks się pomylił.

- I cóż takiego zrobił?

- Wyciągnął maskę Barbarzyńcy i ją właśnie założył.



- I co? - spytał bez specjalnego zainteresowania w głosie Jansen.

- I wtedy Gardemuus go zabił - dokończył O'Reilly.

Inspektor patrzył na niego przez chwilę osłupiałym wzrokiem.

- Jak, to? - wyjąkał w końcu.

- Barbarzyńca oznacza rozkaz, wymuszenie, groźbę. Używa się jej tylko w stosunku do ludzi bez honoru, najniższej służby, bądź też jeżeli chce się kogoś śmiertelnie obrazić. W przełożeniu na słowa założenie Barbarzyńcy oznaczałoby tyle co: "moje pożądanie jest tak wielkie, że jak mi jej nie oddasz, to cię zabiję". Ale to nie w pełni oddaje obelżywość tej sceny. Gardemuus roztrzaskał mu głowę rytualną buławą. Zrobił to, sędzę, tak szybko, iż nie zdążył się nawet zastanowić nad tym, że postępowanie Henricksa musiało być wynikiem tragicznej pomyłki. Zagrała w nim krew stu dwudziestu arystokratycznych pokoleń. No i stało się.

- Straszne, okropne, niesamowite - Jansen z trudem przyjmował do wiadomości słowa agenta. - Czy tu do cholery nie ma żadnych sądów na tej przeklętej planecie?

- Są - odparł O'Reilly. - I Gardemuus był sądzony zgodnie z prawem.

- No i? - zmarszczył brwi Jansen.

"Boże", pomyślał O'Reilly, "dlaczego obiecałem sobie mówić prawdę i tylko prawdę? Przecież to rozmowa jak ze ślepym o kolorach, A może i gorzej."

- Sąd, któremu, nawiasem mówiąc, przewodniczył sam radca królestwa, wyraził swoje uznanie tyfrathonowi za tak ściśle wykonanie zalecanych przez zwyczaj obowiązków.

- Jezu! - Jansen był naprawdę wstrząśnięty. Ale z wolna wściekłość zaczęła brać górę. Wstał i chodząc wzdłuż ścian pokoju walił pięścią w otwartą dłoń. O'Reilly o mało nie podskoczył z wrażenia.

- Koniec z tym - warknął wreszcie: Ja tu zrobię porządek, bo pan, panie O'Reilly - tu spojrzał ostro w stronę agenta - zbyt już chyba nasiąkł tymi barbarzyńskimi zwyczajami. No nie, do czego to doszło, ambasador Federacji zabity i nic! - mówił dalej kręcąc się po pokoju. - To im nie ujdzie płazem. Dziś jeszcze wysyłam raport, a panu radzę - znów ostre spojrzenie na O'Reillego - napisać natychmiastową rezygnację. To chyba lepsze od wywalenia na zbity pysk!

- Miałem taki zamiar - odparł sucho agent.

- Aha, jeszcze jedno. Chcę dziś jeszcze mówić z tym przewodniczącym sądu. Sądu - prychnął pogardliwie. - Parodia. Niech go pan tu wezwie.

"Wezwie", powtórzył w myślach O'Reilly. Tak jakby radcę królestwa mógł ktokolwiek wzywać.

- To niemożliwe - odparł.

- Pan chyba nie rozumiał jeszcze, że reprezentuję tu władze Federacji. Jedno moje słowo, a wyląduje pan przed sądem. I to nie przed jakąś miejscową parodią, a dobrym, ziemskim trybunałem.

Przed sądem. Miły Boże. Czy ten dureń sądzi, że tak łatwo byłoby wywieźć z tej planety Rogera O'Reillego, agenta handlowego, człowieka o wysokiej pozycji społecznej i przyjaciela wielu osobistości? Jego nieobecność wywołałaby na tyle duże zamieszanie finansowe, że zbyt wielu Taurydańczyków zaangażowanych w prowadzone przez niego interesy miałyby spore kłopoty. A Taurydańczycy nie cierpieli kłopotów.

- A co się dzieje z tym człowiekiem? - zapytał nagle wstając Jansen.

- Z kim?

- Z tym całym Gardemuusem! - wrzasnął inspektor.

- Tyfrathon Gardemuus zrozumiał, że śmierć przyjaciela spowodował tragiczny błąd - objaśnił spokojnie O'Reilly - i mimo korzystnego wyroku sądu przywdział maskę Ponurego Milczka oraz udał się na wyprawę pokutną.

- Co to znaczy? - spytał nieprzyjaźnie Jansen.

- To znaczy, że dobrowolnie zrezygnował na czas pokuty ze swej społecznej pozycji, wygod, dostatku i przyjemności. Według wierzeń Taurydy, kiedy skończy się czas tułaczki pokutnej, Gardemuus będzie znów przyjacielem Henricksa i w przyszłym życiu będą jak najukochańsi bracia.

- Co za bzdury! Powiem panu, co czeka tego Gardemuusa. Dobry, uczciwy sąd wojskowy na Ziemi. I jeżeli sędziowie będą mieli choć odrobinę zdrowego rozsądku, to sześć kul od plutonu egzekucyjnego.

- Niech pań posłucha - O'Reilly podjął ostatnią próbę przekonania inspektora. - Panu kara jaką nałożył na siebie tyfrathon może wydawać się śmieszna, ale to z jego strony wielkie poświęcenie. Przecież surowość kary można rozpatrywać tylko w odniesieniu do społecznych i historycznych tradycji i zwyczajów danego narodu. Kiedyś na Ziemi Arabowie karali przestępców obcięciem prawej dłoni. W Europie taki człowiek nie tracił nic, poza tym oczywiście, że stawał się kaleką, ale w krajach arabskich dodatkowo był automatycznie wyklęty ze społeczności. Nie mógł jeść ani mieszkać razem z innymi, uważano go za pariasa i...

- Co mi pan wyjeżdża z takimi duperelami! - uniósł się Jansen. - choćby pan rok gadał, to ja wiem swoje.

- A jak pan zamierza zmusić Gardemuusa, by opuścił Taurydę? - spytał O'Reilly.

- Jak? Powiem panu jak. Jutro wezwę najbliższy krążownik i załatwię tę sprawę raz dwa. Mam pełnomocnictwo drugiego stopnia, panie O'Reilly, a chyba wie pan, co to oznacza?

O'Reilly wiedział. Rzeczywiście, każdy statek bojowy przybędzie na jego wezwanie. No, a to niestety oznaczałoby wojnę. Tauryda nie da bezkarnie porwać jednego ze swych najczcigodniejszych

obywateli. Wiedział, co teraz należy robić. Sprawy zaszły zbyt daleko. Trzeba będzie jednak poprosić radcę królestwa Natymuusa, aby raczył przybyć.

- Chciał pan rozmawiać z przewodniczącym sądu? - spytał O'Reilly. - Postaram się więc skłonić go do przybycia.

- No, no - zauważył protekcjonalnie Jansen. - Nabiera pan rozsądku, co? Drugi stopień to nie w kij dmuchał, nie?

Agent wystukał na klawiaturze telefonu zastrzeżony numer Natymuusa. Na szczęście telefon odebrał sam radca. Po ceremonialnych powitaniach O'Reilly powiedział:

- Jak pan zapewne wie, ekscelencjo, goszczę u siebie znamienitego wysłannika Federacji Solarnej pana Jansena. Pan Jansen uniżenie prosi, aby raczył pan przybyć, gdyż chce złożyć panu wyrazy najszczerzego szacunku i osobiście podziękować za sprawiedliwy wyrok w sprawie szlachetnego tyfrathona Gardemuusa. Ponieważ pan Jansen już jutro musi opuścić wasz wspaniały kraj, pragnąłby spotkać się z panem, ekscelencjo, jeszcze dzisiaj.

Radca królestwa był zadowolony. To, że wysłannik federacji Solarnej w czasie swego pobytu na Taurydzie będzie widział się tylko z nim znacznie podniesie jego prestiż. Dlatego też zgodził się chętnie: obiecał, że będzie nie później niż za dwie godziny, jeżeli oczywiście ekscelencja pan Jansen zechce czekać tak długo. Ponieważ pan Jansen ustami agenta O'Reillego obiecał czekać choćby do północy. Natymuus pożegnał się ceremonialnie i rozłączył.

- Co za bzdur mu pan nagadał? - spytał inspektor.

- Inaczej by nie przyjechał - odparł krótko O'Reilly. - A teraz najwyższy czas na kąpiel - zdecydował - Jestem pewien, że łazienka dla pana jest od dawna gotowa.

Leżał w seledynowej, ciepłej wodzie pachnącej bukietem ziół. Kiedy umył się już i spłukał mydło pod prysznicem wyszedł z wanny, przypominającej kształtem konchę muszli, i pozwolił się osuszyć nagim niewolnicom. Z przyjemnością spoglądał na ich smagłe ciała o pełnych piersiach i smukłych udach. Jansenowi na wszelki wypadek dał niewolników. Bał się, że inspektor zbyt dosłownie odebrałby obecność nagich kobiet podczas swej kąpieli, a każda zaczepka z jego strony obniżyłaby prestiż O'Reillego. Miał nadzieję, że Jansen nie będzie zaczepiał niewolników.

Potem kobiety starannie go wymasowały oraz natarły ciało olejkami. Wreszcie poczuł, że zmęczenie ustąpiło i jest jak świeżo narodzony. Przeszedł do garderoby. Założył najbardziej ceremonialny strój, zielony kaftan szamerowany złotem i ciemnogrnatowy płaszcz lamowany żółtym futrem molkara. Potem przypasał miecz w złoczonej pochwie. Przejrzał się z zadowoleniem w lustrze. No, teraz wyglądał wystarczająco godnie, by móc przyjąć radcę królestwa. Założył maskę Gościnnego Gospodarza i poszedł do pokoju, gdzie siedział już odświeżony Jansen. Kąpiel poprawiła mu humor.

- Niech pan zmieni maskę - poprosił O'Reilly. - Ponury Milczek jest niezbyt odpowiedni na przyjęcie takiej osobistości. Wydaje mi się, że ta będzie najlepsza. Wyciągnął w jego stronę Przyjaznego Nieznajomego, a Jansen założył tę maskę i oddał mu niepotrzebny już Ponurego Milczka. W

milczeniu czekali na przybycie Natymuusa. O'Reilly pewien był jak potoczy się rozmowa z dostojnym radcą i ze stuprocentową dokładnością mógł przewidzieć jej finał. Właściwie miał wątpliwości, czy postępuje słusznie, ale wiedział, że wyjdzie to tylko wszystkim na dobre. No, może prawie wszystkim.

Tymczasem jednak zastanawiał się leniwie nad tym, w jakiej masce i w jakim stroju przybędzie Natymuus. Prestiż O'Reillego był na tyle duży, iż wymogom grzeczności odpowiadałby jedynie ceremonialny strój gościnny zakładany na wyjątkowe okazje, a maska, no cóż, łatwo się domyślić, że radca założy Przyjaznego Nieznajomego. Ich stosunki są zbyt luźne, aby przyszedł w Dobrym Towarzyszu. Agent mógł jednak iść o zakład, że radca wychodząc z jego domu będzie miał na twarzy Dobrego Towarzysza, a kto wie, czy nie Drogiego Przyjaciela. Ale to pokaże czas. Już za jakieś dwie godziny wszystko powinno się rozstrzygnąć: przyszłość O'Reillego, przyszłość Jansena i przyszłość Taurydy. Da Bóg, to cała sprawa odbędzie się jak należy. Zgodnie z prawem, etyką i dobrymi zwyczajami.

- Kiedy przybędzie radca - powiedział agent - proszę starać się mówić jak najmniej i nie gestykulować. Tutaj gesty mają specyficzne znaczenia i wiele z nich może być potraktowanych jako zniewaga. Niech pan o tym pamięta.

- Dobra, dobra - odparł niegrzecznie inspektor. - Niech się pan nie martwi. Postaram się nie urazić tego dostojnika. - Ostatnie słowo wymówił z lekką drwiną w głosie.

Niedługo potem dźwięczny głos gongu obwieścił przybycie Natymuusa. Niewolnicy wprowadzili radcę do pokoju, po czym cicho wynieśli się zamykając drzwi. Gość był wysokim, szczupłym człowiekiem o pełnych energii ruchach. Pomimo siwych włosów i znamionującego leciwy wiek głosu, trzymał się prosto jak świeca. Ubrany był rzeczywiście w strój, o jakim myślał O'Reilly, a i przypuszczenia agenta co do maski Przyjaznego Nieznajomego okazały się słuszne. O'Reilly wstał z miejsca na powitanie gościa i nim usiadł ponownie, gestem poprosił radcę aby spoczął. Było to przyjęcie nad wyraz kurtuazyjne i wręcz wyrafinowane grzeczne. Natymuus musiał być zadowolony. Jansen jednak postanowił przejąć inicjatywę w swoje ręce. Zbliżył się do radcy, i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Miło mi pana poznać, ekscelencjo - powiedział po taurydańsku. - Jestem inspektor Tobias Jansen z Centrum Federacji.

O'Reilly złośliwie uśmiechnął się pod maską, widząc zakłopotanie radcy, który w końcu po pełnej napięcia chwili wahania uściśnął dłoń Jansena. Gest ten, na Ziemi nie będący niczym innym oprócz powitania, na Taurydzie miał odmienne znaczenie. Zobowiązywał bowiem obu ludzi do niezmienniania masek na czas całej rozmowy. W pertraktacjach i rozmowach oficjalnych było to zupełnie tak, jakby jeden polityk prosił drugiego "porozmawiajmy, ale obiecaj, że będziesz dla mnie miły". Nic więc dziwnego, że Natymuus poważnie wahał się, nim uściśnął dłoń Jansena. Teraz ta wizyta stała się tylko i wyłącznie ceremonialna, bo radca nie mógł przystąpić do żadnych poważnych rozmów, będąc tak ograniczony w działaniu. Poza tym samo powitanie było jak na taurydzkie zwyczaje wręcz niegrzeczne, ale O'Reilly, choć mógł, wcale nie zamierzał tłumaczyć postępowania Jansena. Natymuus był zdziwiony zachowaniem wysłannika Centrum. Oczywiście nie pokazywał tego po sobie w żaden sposób. Przecież był nie tylko Taurydańczykiem, ale i dyplomata. Jednak

zachowanie Jansena nie tylko go zdziwiło, ale i uraziło. Dawno już nikomu nie zdarzyło się tak bezczelnie zaproponować mu niezmienną maski. To jasne nadużycie zaufania i jeżeli ten Ziemianin myśli, że załatwi cokolwiek w taki sposób, to jest w głębokim błędzie. Stary radca miał też żal do O'Reillego. Agent mógł go przecież ostrzec przed tym człowiekiem. No, chyba, że łączą ich wspólne interesy, ale Natymuusowi zdawało się, iż jest z O'Reillem w na tyle dobrych stosunkach, że ten nie poważy się na działanie przeciw niemu. A poza tym O'Reilly to człowiek o wysokim prestiżu, dobry przyjaciel nieszczęsnego Gardemuusa, co przecież o czymś świadczy. Radca wymieniając z agentem ceremonialne uwagi, a potem opowiadając o przygotowaniach do zaślubin córki jednocześnie intensywnie myślał nad całą tą zagadkową sprawą. W rozwiązaniu problemu pomogła mu pewna znajomość stosunków panujących na Ziemi. Nie był bowiem, jak większość Taurydańczyków, izolacjonistą, ale hołdował koncepcji poznawania obyczajów i historii innych nacji. Pamiętał przecież, że na Ziemi stosunek służbowego podporządkowania nie jest prostą wypadkową prestiżu. Wydawało mu się to niewiarygodne, ale w Federacji często wysokie funkcje pełnili ludzie o nikłym prestiżu. Podejrzywał, że Jansen piastuje jakieś wysokie stanowisko, jego pozycja społeczna jest wyższa od pozycji O'Reillego choć porównując prestiż obu, wydawałoby się to niemożliwe. Jansen wyraźnie był człowiekiem bez honoru. Świadczyło o tym każde wypowiedziane zdanie i każdy gest. A stary radca miał dobre oko co do ludzi. "Biedny O'Reilly", pomyślał Natymuus, "być podwładnym takiego zera. Dobrze, że on jutro wyjeżdża, bo prestiż O'Reillego spadłby bardzo, gdyby dowiedziano się, kto jest jego zwierzchnikiem." Radca poczuł się mile zaszczycony zaufaniem agenta. Oto on zaprosił go do swego domu widać wierząc, że Natymuus nie wykorzysta swych wiadomości przeciw jego prestiżowi. Zapewne ten Jansen chciał się spotkać z którymś z dostojników, a O'Reilly wybrał właśnie Natymuusa. To doprawdy wzruszające z jego strony. Ale oczywiście nie będzie można tolerować takich impertynencji jak poprzednia. Najlepiej uprzejmie się pożegnać i odejść. Biedny O'Reilly. Zaraz po powrocie wypadałoby mu przesłać jakiś drobny prezent. Niech wie, że radca Natymuus nie zdradza przyjaciół. Skończył opowiadać i wstał z miejsca.

- Cieszę się, że mogłem podzielić się z wami moją radością. Jestem do głębi wzruszony i zaszczycony spotkaniem tak znamienitego człowieka jak jego ekscelencja pan Jansen. Będę zrozpaczony, jeżeli nie powitam ekscelencji - zwrócił się bezpośrednio do inspektora - na ceremonii zaślubin.

O'Reilly wstał. Wiedział już, co nastąpi. Jansen wyciągnął rękę z wysuniętym wskazującym palcem.

- Chwileczkę, ekscelencjo! - zawołał. - Mieliliśmy porozmawiać o procesie w sprawie śmierci naszego ambasadora.

Cztery zniewagi w jednym zdaniu. Doprawdy trzeba mieć talent. Po pierwsze, wysunięcie wskazującego palca oznacza "uwaga, słuchaj mnie", a radcy królestwa nie dyktuje się czego ma słuchać. Po drugie, nie zatrzymuje się dostojnika, gdy ten oficjalnie daje do zrozumienia, że chce się pożegnać. Po trzecie, na temat procesu się nie dyskutuje. Można podziękować, bądź wyzwać na pojedynek. Innych możliwości nie ma. Po czwarte proces nie dotyczył śmierci Henricksa, tylko honorowej sprawy tyfrathona Gardemuusa.

O'Reilly nie odzywał się. Wypadki bez jego ingerencji i tak toczyły się jak najbardziej odpowiednim torem. Natymuus był nieco bezradny. Obiecał, że nie zmieni maski, a przecież trzeba było teraz nałożyć Obojętnego Przechodnia i odejść. Przyjazny Nieznajomy nie może opuścić swego rozmówcy.

- Słucham - odparł radca siadając.

- Chciałem powiedzieć panu, ekscelencjo, że proces w sprawie ambasadora Federacji Solarnej uważam za karygodny - mówił wolno Jansen, starannie dobierając słowa. - Jak można było uwolnić od kary zabójcę wysokiego dostojnika Federacji? Oznajmiam panu, że Gardemuus będzie musiał stanąć przed ziemskim sądem i odpowiedzieć za swój czyn zgodnie z zasadami naszego prawa. Od pana ekscelencjo spodziewam się pomocy w schwytaniu przestępcy.

Zniewag było tyle, że O'Keilly przestał je liczyć. Natymuus wolno wstał. Teraz powinien założyć maskę Szalonego Wojownika i zabić Jansena. Było to jednak niemożliwe z dwóch powodów. Po pierwsze, nie mógł zmienić maski. Gdyby to uczynił po uprzednim uściśnięciu ręki inspektora, byłoby to dyshonorem, no a Przyjazny Nieznajomy nie może walczyć. Po drugie, Natymuus był gościem, a wyciągnięcie miecza przeciwko drugiemu gościowi w obecności Gościnnego Gospodarza jest śmiertelną zniewagą.

- Jeżeli mi pan nie pomoże - ciągnął Jansen - będę zmuszony wezwać statek bojowy floty federacyjnej, aby umożliwił mi wykonanie zadania. A uczynię to bez względu na konsekwencje.

Wymawiając słowo konsekwencje inspektor dla podkreślenia wagi swoich słów uderzył pięścią w otwartą dłoń. "Biedny Jansen", pomyślał O'Reilly. Biedny, mały, bezradny pionek, który myślał, że decyduje o czymkolwiek, a który od samego początku rozmowy poruszał się na szachownicy, na której on był arcymistrzem. Agentowi zrobiło się żal Jansena. To w gruncie rzeczy ani lepszy, ani gorszy człowiek niż wszyscy inni. Może gdyby wykazał choć minimum dobrych chęci wszystko mogłoby skończyć się inaczej. Może gdyby znał obyczaje Taurydy ocaliłby życie. A teraz cóż, Jansen musi zginąć i nawet cała flota Federacji nie uratuje go przed śmiercią. Oto skutek zadufania i lekceważenia odwiecznych tradycji. Oto skutek nieuctwa, oto skutek lenistwa (przecież miał w drodze materiały o Taurydzie, nauczyłyby się z nich paru najprostszyc rzeczy). Oto skutek lekceważenia (przecież O'Reilly ostrzegał go, żeby nie wykonywał żadnych gestów). Biedny, głupi Jansen. Uderzając pięścią w otwartą dłoń wykonał gest wyzwania do pojedynku. Gest najbardziej obelżywego wyzwania. W połączeniu z jego słowami dawało to piorunujący skutek. A nieszczęsny Natymuus nie mógł odpowiedzieć ostrzem. Cokolwiek by zrobił, stanowić musiało dyshonor. O'Reillemu żal było także starego radcy. Chyba jeszcze nigdy nie stanął przed tak ponizającą i trudną próbą. Teraz tkwił jak posąg pod drzwiami pokoju i agent wyobrażał sobie, jaka burza uczuć i myśli przetacza się przez mózg Natymuusa. A Jansen stał przed nim, wzburzony i groził wyciągniętym palcem. Pozostawało tylko jedno. O'Reilly błyskawicznie pozbył się Gościnnego Gospodarza i założył maskę Szalonego Wojownika. Teraz, kiedy Gościnnego Gospodarza już nie było, radca mógł walczyć. Lewa ręka szybko zmieniła maski, prawa chwyciła rękojeseć miecza. Ale O'Reilly był szybszy. To prawda, iż Natymuus był kiedyś najlepszym fechmistrzem Taurydy. Ale te lata minęły, minęły już dość dawno. O'Reilly był nie tylko doskonałym handlowcem, ale i mistrzem walk mieczem. Nim starszy człowiek zdołał wyciągnąć swój miecz choćby do połowy, agent błysnął już w powietrzu srebrnym ostrzem.

- Jansen! - zawołał.

I kiedy inspektor odwracał się w jego stronę, O'Reilly ciął. Ostrze przeszło gładko przez szyję i głowa Jansena gibnęła się na bok, a bluzgający krwią kadłub upadł w drgawkach na biały futrzak.

Radca schował ze zgrzytem swój miecz do pochwy. Milczeli przez chwilę.

- Pozwoli pan przyjacielu - powiedział w końcu Natymuus - że przyślę niewolników z nowym dywanem na miejsce tego, który tak nieszczęśliwie się zabrudził.

- Będę zaszczycony - odparł O'Reilly. Dopiero teraz radca zorientował się, że nadal ma na twarzy Szalonego Wojownika i szybko zmienił tę maskę na Przyjaznego Nieznajomego. Agent znów stał się Gościnnym Gospodarzem.

- Jestem wzruszony - rzekł wolno radca - pańskim nad wyraz szlachetnym zachowaniem. Przewidując kłopoty, jakie mogą pana spotkać z uwagi na ten pożałowania godny incydent ośmielam się zaoferować panu wszelką pomoc, jakiej tylko mógłby udzielić człowiek. o tak skromnej pozycji jak moja. Będę zaszczycony, jeżeli zechce pan przyjąć moje usługi. - Mówiąc te słowa Natymuus zdjął maskę Przyjaznego Nieznajomego i założył Drogiego Przyjaciela. O'Reilly pochylił z szacunkiem głowę.

- Z radością przyjmuję, ekscelencjo, pańską nad wyraz szczodrobliwą propozycję, Nie mogę znaleźć słów potępienia dla siebie samego, że dopuściłem do zaistnienia w moim domu tak nieprzyjemnego incydentu. Jeszcze raz błagam o wybaczenie, ekscelencjo. - O'Reilly założył maskę Pokornego Jałmużnika, a radca zbliżył się wolno do niego, sięgnął do jego pasa, delikatnie zdjął z jego twarzy Jałmużnika i nałożył na nią to, co agent widział przed sobą: - Drogiego Przyjaciela.

- Pragnąłbym widywać pana jak najczęściej - powiedział Natymuus. - Będę zaszczycony, jeżeli poświęci pan swój drogocenny czas i zechce towarzyszyć mi w czasie popołudniowego odpoczynku, Myślę, że Jego Wysokość Następca Tronu z radością ujrzałby pana na najbliższym przyjęciu wydanym na cześć oddanych przyjaciół.

- Jestem zaszczycony pana łaskawością, ekscelencjo - odparł krótko O'Reilly, gdyż uznał, że każde słowo przekazywałoby zbyt mały ładunek emocjonalny.

- Pozwoli pan, że go pożegnam - rzekł radca - z radosnym niepokojem oczekuję naszego jutrzejszego spotkania.

Wymienili ceremonialne formuły pożegnalne, po czym radca odwrócił się jeszcze od drzwi. Nie było to zgodne z etykietą, ale przecież przyjaciele mogą pozwolić sobie na drobne odstępstwa.

- Dziś ogłoszę wiadomość o tym wypadku - powiedział Natymuus. - I jeżeli wolno mi przypuszczać, proces odbędzie się za tydzień. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, postaram się przewodniczyć obradom sądu, starając się, aby pańskie ważne zajęcia nie ucierpiały na skutek tego błahego zajścia.

- Będę zaszczycony, ekscelencjo - powtórzył O'Reilly.

Kiedy Natymuus wyszedł, agent udał się do garderoby, a potem łazienki, pozostawiając niewolnikom kłopot sprzątnięcia pokoju. Gdy leżał już w zielonkawej, cudownie pachnącej wodzie zaczął leniwie zastanawiać się nad konsekwencjami sytuacji. Cóż, stał się naprawdę kimś. Drogi Przyjaciel radcy królestwa Natymuusa. Teraz koncesje sypną się jak z rogu obfitości. Ale O'Reilly nie zrobił tego dla

pieniędzy czy prestiżu. On po prostu kochał tę planetę, kochał swego najlepszego przyjaciela Gardemuusa, kochał tych ludzi i ich jakże odmienne od ziemskich obyczaje. I nie zamierzał pozwolić na to, by ludzie pokroju Jansena nękali tak mu bliski kraj. A poza tym kochał spokój i nie chciał, aby półgłówki z Centrum dręczyły go sprawą Henricksa. Rozciągając się wygodnie w wannie obmyślał treść raportu o śmierci Jansena i miał błogą nadzieję, że następnym razem przyślą mu rozsądniejszego inspektora.

Martwiło go jedynie to, że człowiek z jego pozycją społeczną nie będzie sobie mógł już pozwolić na samodzielne prowadzenie samochodu. A taurydańscy kierowcy byli tak nieostrożni.

Warszawa, kwiecień 1989.

*Jacek Piekara należy do najmłodszych autorów polskiej SF - za kilka tygodni będzie obchodził dwudzieste piąte urodziny. Jest również tym autorem, który najszybciej ze swoich rówieśników zdołał zwrócić na siebie uwagę czytelników publikacjami prasowymi (m.in. w "Problemach" i "Fantastyce") oraz mikropowieścią fantasy "Smoki Haldoru" ("Iskry," 1987). Pisze dużo, znacznie więcej niż polscy wydawcy, są w stanie publikować - dotychczas ukazały się jedynie dwie książki Piekary; kilka następnych czeka od lat na zmiłowanie edytorów. W najbliższych dniach powinien pojawić się na rynku jego zbiór opowiadań "Zakłete Miasto" ("Nasza Księgarnia"; seria "Stało się jutro"), który przed laty; w momencie przyjęcia do druku, był pierwszą rodzimą książką fantasy.*

*(raz)*